

Gdzie jest Rabbi?

AUTOR: KATARZYNA FLADER-RZESZOWSKA

Postać Jezusa rozbudzała ciekawość wobec festiwalowych propozycji, a Jego samotne zawołanie z krzyża: „Czemuś mnie opuścił?“, brzmiało bardzo współcześnie. Młodzi twórcy potraktowali jednak biblijny temat nazbyt powierzchownie.

■ Warszawskiemu Festiwalowi Nowe Epifanie (wcześniej Gorzkie Żale) widzowie towarzyszą już od czternastu lat. Od kilku edycji co roku ma on inne biblijne hasło, które staje w centrum artystycznych poszukiwań, i cytat zachęcający twórców do jego interpretacji – dialogu czy polemiki z tradycją chrześcijańską. Po Judaszu, Magdalenie i Apokalipsie hasłem tegorocznego festiwalu uczyniono Jezusa. To nie tylko najważniejszy, ale i najbardziej intrygujący bohater Nowego Testamentu, a wybrany cytat: „Czemuś mnie opuścił?” – wieloznaczny, tajemniczy, złożony teologicznie, bardzo ludzki i tragiczny – daje dużo możliwości scenicznego urealnienia. Jezus jako człowiek, a dla chrześcijan człowiek-Bóg, z punktu widzenia dramaturgicznego jest szczególnie ciekawy. Jego boska i ludzka natura najmocniej uwidacznia się w czasie Triduum Paschalnego. Męczeńska śmierć w piątek, poprzedzona pytaniem do Boga Ojca, odsłania Jego człowieczy wymiar, zaś zmartwychwstanie w niedzielny poranek po sobotniej ciszy jest przejawem boskiej mocy pokonującej cierpienie i śmierć.

Patrząc na zmiany zachodzące w obrębie wspólnoty Kościoła katolickiego w Polsce, na coraz liczniejsze apostazje i coraz rzadsze praktyki religijne, Jezus, Jego życie i nauczanie jako rdzeń i sedno chrześcijaństwa musiały stanąć w centrum uwagi organizatorów festiwalu. Zawołanie „Czemuś mnie opuścił?” nabiera dziś nowych kontekstów i odnosi się do różnych adresatów. To nie tylko pytanie Syna do Ojca, to także pytanie katolików do kapłanów, kapłanów do wiernych, Boga do człowieka, człowieka do Boga.

Postać Jezusa rozbudzała ciekawość wobec festiwalowych spektakli. Samotne wołanie z krzyża brzmi przecież bardzo współcześnie: „Jezus modli się słowami wielkiego Psalmu cierpiącego Izraela i w ten sposób bierze na siebie i streszcza w sobie całe udręczenie nie samego Izraela, lecz wszystkich cierpiących na tym świecie z powodu ukrywania się Boga” – pisał Joseph Ratzinger w *Jezusie z Nazaretu*. Wybierając cytat z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem, organizatorzy nie mogli przypuszczać, że w lutym 2022 Władimir Putin zaatakuje Ukrainę, jednak widzowie festiwalu mogli już odbierać go w kontekście napaści, cierpienia niewinnych ofiar, ich bólu i samotności.

Czy artyści potraktowali temat jako twórcze wyzwanie, czy dostrzegli jego złożoność, czy pokazali postać Jezusa z różnych perspektyw? Jako nauczyciela, guru, przewodnika, Chrystusa i Niechrystusa (jak proponuje paterkę na Jezusa Piotr Augustyniak)? Zdaje się, że festiwal zdominowała perspektywa krytyczna wobec Kościoła – instytucji. Taki wydźwięk miały przecież *Umiłowane* w reżyserii Michała Zdunika, *Jezus* w reżyserii Jana Kantego Zienki i Olgi Ciężkowskiej oraz *Obraz/y uczuć* wyreżyserowane przez Krzysztofa Popiołka. Jezus jako Rabbi, ewangeliczny nauczyciel, właściwie się nie pojawia.

Od 2019 roku Epifanie zmieniły swój kształt. Dziś stawiają bardzo mocno na współpracę z młodymi twórcami stojącymi dopiero na początku drogi teatralnej. Wybrani reżyserzy biorą bowiem udział w warsztatach – Laboratorium Epifanii, gdzie z filozofami i teologami rozważają podany przez organizatorów temat

biblijny. Na podstawie rozmów i własnych koncepcji przygotowują sceny teatralne, które mają ułożyć się w spektakl prezentowany na festiwalu. Z tego m.in. powodu od kilku edycji propozycje teatralne są bardziej pokazem procesu twórczego niż pełnymi, zamkniętymi spektaklami. W ostatnich latach oglądaliśmy przedstawienia tylko młodego pokolenia, co, w moim przekonaniu, odbiera Epifaniom to, co było ich siłą – odmienne spojrzenie reżyserów na biblijny temat ze względu na niejednorodną przynależność generacyjną, wielowymiarowość poszukiwań, mierzenie się z trudnymi tematami teologicznymi z różnych perspektyw. Mam wrażenie, że w tym roku twórcy wykazali się podobnym – w gruncie rzeczy dość powierzchownym – spojrzeniem na problem. Obecnie młodych twórców interesuje raczej pytanie: po co komuś religia, niż: co daje wiara, a Jezus – jak przyznawał dyrektor Nowych Epifanii Paweł Dobrowolski w publikowanej na naszych łamach rozmowie – nie jest dla nich częścią doświadczenia życiowego, lecz jednym z wielu bohaterów mitycznych.

Festiwal rozpoczęły *Obraz/y uczuć* z Teatru Ludowego – projekt teatralny. Widzowie zgromadzeni głównie na scenie, tuż obok aktorów, z większą intensywnością odczuwają ich emocje. Wykonawcy (Iwona Sitkowska, Wojciech Lato, Ryszard Starosta i Robert Ratuszny) wybijając rytm na bębnie, śpiewają znaną piosenkę religijną. Jej słowa: „Bądź pozdrowiony gościu nasz, w radosne progi nasze wejdź. My zapalimy zamiast lamp szczęśliwe ognie naszych serc”, powoli budują poczucie wspólnotowości, ale rodzą też niepewność, czy to

nie twórcza ironia, mała prowokacja. Aktorzy nie udają, że są postaciami, mówią we własnym imieniu, to, nad czym chcą się zastanawiać, dotyczy bezpośrednio ich. Nawet jeśli nie jest się przekonany do takiej formy, trzeba przyznać, że twórcy próbowali mierzyć się i z postacią biblijną tegorocznej edycji i z zaproponowanym cytatem (czego nie mogłam dostrzec na przykład w *Kierunku zwiedzania* w reżyserii Aleksandry Bielewicz). W trakcie rozmowy z widzami odpowiadają na pytania, kim był dla nich kiedyś, a kim jest teraz Jezus. Przypominają sobie pierwsze doświadczenia religijne, pierwsze odczucia transcendencji, ale i pierwsze rozczarowania religią, kapłanami, wiernymi wyznającymi jedne wartości, a praktykującymi inne. Wraz z kolejnymi zwierzeniami przychodzi coraz większa gorycz. Kościół jest dla nich miejscem patriarchalnej dominacji, nietolerancyjną wspólnotą zamkniętą. Najbardziej wymowna jest scena, podczas której głośnie dźwięki organów zagłuszają zwierzenie chłopaka. Kościół to wspólnota, której tak naprawdę nie interesuje człowiek – mówią twórcy – która nie słucha głosu wiernych, lecz dba o to, by trwać w niezminionej formie i strukturze. Jedyne, co można zrobić, to dokonać apostazji. Takie rozwiązanie wydaje się młodym ludziom najbardziej uczciwe, choć wcale nie bezemocjonalne. Wciąż mają potrzeby duchowe (nie wiem, czy oparte na chrześcijaństwie). Marzą, by można było patrzeć na Boga jak na białą kartę, którą zapisuje się od nowa, bez instytucji i jej błędów.

Spektakl ma dobre tempo, energię i rytm. Jest sprawnie zagrany. Aktorzy w zwyczajnych współczesnych strojach prowadzą z nami coraz bardziej intymny dialog. Mam jednak poczucie, że ilość tematów wprowadzonych do tego spotkania rozbija dramaturgiczny przebieg. Kiedy myślimy, że dotarliśmy do punktu kulminacyjnego, pojawiają się nowe problemy i kolejne grzechy Kościoła. Nie wzmacnia to wymowy przedstawienia, lecz ją rozmywa. Diagnoza postawiona przez Krzysztofa Popiołka i Weronikę Murek jest bardzo przewidywalna, a podejmowana przez aktorów tematyka – często w ostatnim czasie poruszana na scenie. Szkoda, że twórcy w tej szczerej rozmowie nie poszli o krok dalej i nie otworzyli jakiejś nowej przestrzeni do dyskusji.

Zupełnie inną propozycją – także od strony formalnej – był *Filoktet ex machina* w reżyserii Agaty Koszulińskiej. To z kolei spektakl,

w którym nie rozmawiamy o Jezusie, lecz o człowieku, który pragnie zastąpić Boga, o człowieku, który Boga opuścił. Marzy o pokonywaniu kolejnych granic natury, o nieśmiertelności, cały czas jednak musi mierzyć się z bólem i banalem cierpienia. Prototypem człowieka cierpiącego nie jest tu Jezus, lecz antyczny Filoktet ciągnący swą niesprawną nogę po piaszczystej plaży, przekonany, że taki jest jego los. Człowiek współczesny nie chce godzić się z bezsensownym cierpieniem, szuka możliwości przekroczenia ograniczeń, buntuje się wobec swojej egzystencji. Bohaterami spektaklu są: Jennifer Doudna (Aleksandra Bożek) – amerykańska biochemiczka, laureatka Nagrody Nobla, która wymyśliła metodę pozwalającą na dokonywanie precyzyjnych zmian w genach lub wyłączaniu niektórych z nich;

Agata Koszulińska i Amadeusz Nosal podważają bezgraniczną wiarę w rozwój nauki i idee transhumanizmu. Pokazują, że za każdym eksperymentem kryją się złożone pytania natury etycznej.

a także rodzeństwo dwuletniej Einz z Tajlandii, która zmarła z powodu guza mózgu (o tej relacji opowiada Sylwia Goła). Rodzice postanowili poddać ciało dziecka krioprezervacji, licząc, że medycyna pozwoli na jego wskrzeszenie w przyszłości (na platformie Netflix znajduje się poświęcony tej historii dokument *Zamrożona nadzieja. Drugie życie Einz*). Na scenie widzimy też Petera Scotta-Morgana (Bartosz Mikulak) – nieuleczalnie chorego brytyjskiego naukowca, który funkcjonuje dzięki rozwojowi technologii (za pomocą gałek ocznych steruje komputerem). Wszyscy marzą o przedłużaniu życia, o cofaniu procesów biologicznych. Koszulińska i Amadeusz Nosal (dramaturgia i tekst) podważają jednak bezgraniczną wiarę w rozwój nauki i idee transhumanizmu. Pokazują, że za każdym eksperymentem kryją się złożone pytania natury etycznej. Odkrycie Doudnej, w praktyce dostępne tylko bardzo zamożnym, może być wykorzystane do różnych celów, wcale nie związanych z leczeniem nowotworów, a ewentualne odmrożenie małej Einz za kilkadziesiąt lat spowoduje, że obudzi się samotna w innym świecie.

Spektakl rozgrywa się w dwóch przestrzeniach i dwóch porządkach – większość sceny

wypełnia biel i aparatura-kojarząca się ze sterylnym laboratorium, w którym poruszają się przywoływani bohaterowie, zaś po prawej stronie widzimy intymną, pełną bibelotów małą przestrzeń performerki – Kingi Chudobińskiej-Zdunik. Młoda studentka reżyserii ubrana w piżamę opowiada o własnym doświadczeniu bólu i choroby. Mierzy się z trudnym przypadkiem stwardnienia rozsianego. W kolejnych wejściach przedzielających sceny spektaklu mówi o swoich zmaganiach z polską służbą zdrowia, ale przede wszystkim o nieznośnym cierpieniu. To ona na koniec przywołuje znane słowa Józefa Tischnera, które warto przypominać. „Nie cierpienie jest tutaj ważne. Nie ono dźwiga. Wręcz przeciwnie, cierpienie zawsze niszczy. Tym, co dźwiga, podnosi i wznosi ku górze, jest miłość”. Te zdania

wypowiedziane przez realną cierpiącą osobę stają się rodzajem świadectwa. Nie ma Jezusa w tym spektaklu, ale jest Miłość.

Na tegorocznych Epifaniach dominowały kameralne formy – trzy-, czteroosobowe skromne realizacje (to wynik zmiany formuły i braku odpowiednich funduszy). Jezus pojawiał się na scenie jako migotliwa figura cierpienia artysty, jak w spektaklu Judyty Berłowskiej *Pasolini. Sny przed końcem*, czy jako obiekt buntu wobec niezawinionej śmierci przyjaciela w spektaklu *W siebie wstąpienie* Marty Streker. Bóg ojciec, od którego trzeba się uwolnić, by zyskać wolność, to temat ciekawej prezentacji teatru tańca *SM. Masochistyczne obrazy ojciec – syn* z choreografią Tomasza Sebastiana Berga. Nie było jednak spektaklu, który by poruszał, zostawiał z zachwytem lub mocno drażnił, stawiał trudne, niewygodne, ale głębokie pytania, które przecież zdarzały się na Nowych Epifaniach, zwłaszcza podczas bardzo udanej edycji o Judaszu. Twórcy ledwie dotknęli tematu, często w sposób nazbyt oczywisty, ale nie otworzyli nowych perspektyw do dialogu. Trudno było doznać epifanii piękna. ■

XIII Festiwal Nowe Epifanie
Warszawa, 2 marca – 10 kwietnia 2022